

JAK ZABŁĄDZIŁAM W PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ

Z Białegostoku przyjechaliśmy do Białowieży dwoma samochodami. Był to koniec września, ze względu więc na wcześnie zapadający wieczór zaraz po obiedzie wyruszyliśmy do lasu.

Najpierw poszliśmy do zwierzyńca, by obejrzeć egzotycznych przybyszów: żubry puszczańskie. Mówię „przybyszów”, bo w czasie wojny żubry wyginęły i dopiero w roku 1929 zostały za-



PUSZCZA BIAŁOWIESKA. OKAZ SOSNY

Fot. Poddębski

kupione za granicą i tu sprowadzone. Zdziwiona byłam, że można je było oglądać z odległości kilkudziesięciu kroków. Niewiele sobie z ludzi robiły. Nie płoszył ich nawet trzask aparatu fotograficznego.

Wróciliśmy do parku pałacowego i brukowaną drogą, prowadzącą przez pola, szybko dotarliśmy przez bramę wjazdową do Parku Narodowego. Jest to serce puszczy, którego nie zdołały zniszczyć działania wojenne ani gospodarka Niemców. Rezerwat to najpiękniejsza a zarazem najdziksza część puszczy. Zwalone pnie drzew, poplątane gałęzie, bujne podszycie przypominają odległe czasy, gdy Władysław Jagiełło i wielki książę litewski Witold przed

rozprawą z Krzyżakami urządzali tu łowy, by zaopatrzyć wojsko w mięso.

Na razie idziemy drogą. Po obydwu stronach szumi wysoki las liściasty z pojedynczymi wielkimi świerkami. Oglądamy potężny dąb, który liczy podobno 600 lat życia. Dąb otoczony jest drutem kolczastym!

Nie miałam ochoty zwiedzać lasu w gromadzie, pragnęłam zostać sam na sam z przyrodą.

Zapamiętałam sobie dobrze drogę i słupki wskazujące kierunek i nie mówiąc nic moim towarzyszom skręciłam na prawo. Tu charakter lasu się zmienił. Biała brzoza, ubrana w złotą, koronkową sukienkę pożółkłych liści, ponury świerk i dumna, górująca nad wszystkimi drzewami, czerwona w promieniach zachodzącego już słońca sosna...

Słyszałam jeszcze z dala głosy moich towarzyszy, ale las ciągnął mnie ciemną, wilgotną głębią. Nie oglądając się, pewna swej pamięci, szłam prędko przed siebie.

Szarzejące niebo zakrywały mi rozłożyste gałęzie olbrzymich dębów i czerwono-żółte kopuły klonów i jesionów. Doszłam do jakiejś rzeczki (jak dowiedziałam się później, była to Orłówka), minęłam most i znalazłam się w okolicy wyższej i nie tak wilgotnej.

Tu rosły sosny, wysokie, równe, szlachetne. Wydało mi się, że jestem w jakiejś wspaniałej katedrze. Chciało się klęknąć i dziękować Bogu, że tak piękny stworzył świat.

Ptactwo jeszcze pośpiewując układa-



W PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ

ło się do snu. Jakieś nieznanne mi dotychczas dźwięki i hałasy dochodziły z głębi lasu.

Zrobiło się prawie ciemno, gdy pomyślałam o powrocie. Z lekkim niepokojem zauważyłam, że trafiam na coraz to nową ścieżkę. Zobaczyłam dwie zabawne sosny z odstającymi kawałkami kory, tworzącymi jak gdyby kryzy naokoło drzewa. Tędy przecież nie szłam. Ani tego świerku, co wyrósł na zwalonym dębie, nie było przedtem... Gorzej, bo słońce zaszło i nie wiedziałam, w jakim kierunku mam iść. Przed godziną tak pragnęłam samotności, a teraz z radością posłyszałabym głos ludzki. Zawołałam najgłośniejszym głosem, jak tylko mogłam. Odpowiadało mi krótkie echo uderza-

łam jak wryta: spóźnione stado dzików z niesamowitym łoskotem i chrząkaniem przecięło mi drogę śpiesząc na nocne legowisko.

Chciałam wołać, wzywać pomocy, lecz pomyślałam, że należy zachowywać się jak najciszej, by mieszkańcy puszczy nie zechcieli mścić się na intruzie.

Szłam wciąż przed siebie grzęznąc w wilgotnym gruncie, kalecząc nogi i ręce, potykając się co chwila o niewidzialne a wrogie nierówności. Muszę się przyznać, że miałam już ochotę płakać. W dodatku było mi bardzo zimno.

— Hop, hop! — zawołałam nieśmiało, na co tuż nad głową załopotaly mi skrzydła sowy, która zerwała się, by przefrunąć na sąsiednie drzewo.

jąc o gęstwę leszczyny. Byłam sama, zgubiona na przestrzeni blisko 5.000 hektarów rezerwatu...

Usiadłam na pniu, by odpocząć i spokojnie rozważyć swoją sytuację. Trzask suchych gałęzi przeraził mnie. O kilka kroków, bez pośpiechu, lecz w lekkich podskokach, przebiegła sarna.

— Rysie i niedźwiedzie są też — przypomniałam sobie nie bez przykrości. — Trzeba się chyba uzbroić?

Złamałam dużą, suchą gałąź i poczułam się nagle bezpieczniejsza.

— Uhu, uhu — rozpaczliwie i groźnie zawołał tuż nad moją głową puchacz oznajmiając nadejście nocy.

Rozróżniałam jeszcze drzewa, lecz zdawałam sobie sprawę, że za pół godziny zapadnie długa jesienna noc. Poczęłam iść przed siebie... Po chwili stanę-

Coś szurnęło mi koło nóg. Las żył nawet w nocy. Wyczerpana, oparłam się wreszcie o drzewo. Wtedy... wtedy posłyszałam daleki, niewyraźny, lecz z pewnością ludzki głos!

Drżące dźwięki odpowiedzi wyszły z trudem z mego ściśniętego gardła. Teraz nawet niedźwiedź i wilk wydały mi się mniej groźne. Głos wołał coraz to

gdzie indziej — mylił mi się kierunek. Jedno było pewne, że mnie szukają, że są coraz bliżej. Odnaleźli mnie w końcu.

Po godzinie padając ze znużenia dotarłam do schroniska. A gdy zamknęłam wreszcie oczy, wciąż słyszałam hałasy i głosy niewidzialnych, groźnych mieszkańców puszczy...

Nadzieja Drucka